



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Czytelnia Online](#).

Dina Rubina
BIAŁY GOŁĄBEK
Z KORDOBY

* * *

fragment

Tytuł oryginału: **Белая голубка Кордовы**

Ilustracja na okładce: *Angel Pastor (flickr.com)*

Projekt okładki: *Tadeusz Kazubek*

Redakcja: *Ewa Woźniakowska-Kielan*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Konwersja do formatu EPUB: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Katarzyna Szajowska*

© Dina Rubina, 2009

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2012

© for the Polish translation by Margarita Bartosik

ISBN 978-83-7495-875-2

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2012

Wydanie I

*Nie ma na ziemi człowieka, który by potrafił powiedzieć, kim jest.
Nikt nie wie, po co pojawił się na tym świecie, co znaczą jego postępkę,
uczucia i myśli i jakie jest jego prawdziwe imię,
które zostanie zapisane w dziejach świata na zawsze...*

Léon Bloy, *L'âme de Napoléon*

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

1

Przed wyjazdem postanowił jednak zadzwonić do ciotki. To on zawsze robił pierwszy krok do zgody. Najważniejsze, by nie podlizywać się, nie kadzić, tylko udawać, że żadnej kłótni nie było – takie tam bzdury, małe nieporozumienie.

– I jak? – zapytał. – Co ci przywieźć, *castañuelas*

1

?

– Idź do diabła! – wycedziła. Ale wyczuł w jej głosie satysfakcję, że jednak zadzwonił, zadzwonił, nie odrunął jak motylek, trzepocząc skrzydełkami.

– To jak, Żuko, może wachlarz? – ciągnął, uśmiechając się do słuchawki i wyobrażając sobie twarz ciotki w aureoli kruczoczarnych włosów i z garbatym, jak u patrycjusza, nosem. –

Przykleimy muszkę na policzek i wyjdiesz na balkon swojego przytułku, wachlując się niczym jakaś, kurde, *maja*

2

.

– Niczego od ciebie nie chcę! – ucięła przekornym tonem.

– Ach tak. – Był potulny jak baranek. – Dobra... Przywiozę ci w takim razie hiszpańską miotłę.

– Jaką znowu hiszpańską? – burknęła, dając się nabrać.

– A na jakiej wy, czarownicy, tam latacie? – zawołał, ciesząc się jak w dzieciństwie, kiedy udało się nabrać jakiegoś frajera, skacząc wokół niego z wrzaskiem: „Elemele-dudki, gospodarz malutki...”.

Rzuciła słuchawkę, ale była to już nie kłótnia, a zaledwie burza w maju, i mógł teraz jechać z lekkim sercem, tym bardziej że dzień wcześniej, kiedy się pokłócili, udał się na targ i postarał, żeby ciotka miała pełną lodówkę jedzenia.

Została mu jeszcze tylko pewna sprawa do *sfinalizowania*, której *fabułę* budował i wypłatał od trzech lat – zakrętasy detali, wywijasy szczegółów.

Nareszcie jutro, o brzasku, na tle turkusowych dekoracji, narodzi się z morskiej piany (trzeba tu podkreślić, że z piany *uzdrowiskowo-wypoczynkowej*) *nowa Venus*. A jego osobisty podpis będzie niczym ostatnie machnięcie pałeczką przez dyrygenta, patetyczny akord w finale symfonii.

Spakował bez pośpiechu swoją ulubioną skórzaną walizkę w kolorze oliwkowym, niewielką, lecz pojemną jak żołnierski plecak: upychasz go po brzegi, *do granic możliwości*, jak mawiał wujek Sioma, a tu patrzysz, drugi pantofel też się zmieścił.

Przygotowując się do wyjazdu, zawsze starannie wybierał ubrania. Przyjrzał się koszuli, wymienił kremową na granatową i wydobyl z pęku wiszących w szafie krawatów ciemnoniebieski jedwabny... Aha, i o spinkach nie zapomnieć oczywiście. O tych, które dostał w prezencie od Iriny. I te drugie, od Margo, też musi zabrać obowiązkowo. Ona wszystko zauważy.

No nareszcie. Teraz *ekspert* będzie porządnie ubrany w ciągu pięciu dni potrzebnych na realizację *hiszpańskiego projektu*.

Z jakichś powodów słowo „ekspert” tak go rozbawiło, że nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Padł plackiem na tapczan, obok otwartej walizki, i ze dwie minuty głośno, z całego serca rechotał – potrafił śmiać się do rozpuku, ale tylko wtedy, gdy był sam.

Wciąż nie mogąc się uspokoić, przeturlał się na brzeg tapczanu, wysunął dolną szufladę szafy na ubrania i pogrzebawszy w stosie wymiętych majtek i skarpet, wyjął pistolet.

Był to wygodny, prosty glock typu kolt z automatyczną blokadą iglicy i płynnym odrzutem lufy. A poza tym można go było rozebrać za pomocą spinki lub gwoździa w ciągu jednej minuty.

Mam nadzieję, bracie, że jutro, podczas ważnego spotkania, zostaniesz w walizce.

Późnym wieczorem wyruszył z Jerozolimy w stronę Morza Martwego.

Nie lubił zjeżdżać tymi serpentynami w ciemności, ale droga została ostatnio poszerzona i częściowo oświetlona, a garbate jak wielbłądy pagórki, które dotąd nacierały po obu stronach, wpychając samochody w lej pustyni, jakby się rozstąpiły...

Jednakże za skrzyżowaniem, gdzie droga skręcała tuż za stacją benzynową, prowadząc wzdłuż morza, oświetlenia już nie było, a przesiąknięta solą niebezpieczna mgła – jaka zdarza się tylko nad morzem, nad *tym* morzem – całkowicie odcinała kierowcę od reszty świata i jedynie światła nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów biły go od czasu do czasu po oczach. Z prawej strony piętrzyły się czarne posepne wzniesienia Qumran, po lewej wyczuwało się obecność czarnej, pobłyskującej niczym mokry asfalt, słonej gładzi morza, za którą tzażyły dalekie światelka na jordańskim brzegu...

Po czterdziestu minutach wystrzeliła do góry i rozsypała się w ciemności świąteczna plejada ogni Ein Bokek z jego hotelami, klinikami, restauracjami i sklepikami – przystań bogatego turysty, jak również ubogiego wędrowca. A dalej, wzdłuż brzegu, w pewnej odległości od ośrodka wypoczynkowego, rozpościerał swe białe, jaskrawo oświetlone pokłady samotny i majestatyczny hotel Nirwana, gdzie w pokoju numer pięćset trzynaście prawdopodobnie spała już Irina.

Jako jedyna z jego kobiet kładła się spać z kurami, tak samo jak on, i z nimi też się budziła. Co nie bardzo mu odpowiadało: nie lubił dzielić z kimkolwiek swego czasu przed wschodem słońca, strzegąc zapasów rześkiej porannej energii, gdy ma się przed sobą cały dzień, oczy nie są jeszcze zmęczone, koniuszki palców są wrażliwe jak u pianisty, głowa pracuje na pełnych obrotach i wszystko wydaje się możliwe nad pierwszą filiżanką w samotności wypijanej parującej kawy. Dla tych bezcennych porannych godzin często opuszczał Irinę późno w nocy.

Zostawił samochód na hotelowym parkingu, wyjął z bagażnika walizkę i niespiesznie, rozkoszując się ostatnimi chwilami wolności, ruszył w stronę wielkich obrotowych drzwi głównego wejścia.

– Śpisz?! – żartobliwie wrzasnął do ochroniarza Etiopczyka. – Mam bombę.

Tamten się poderwał, błysnął białkami oczu i niepewnie rozciągnął usta w uśmiechu, niczym białą harmonię.

– Daj spokój...

Znali się z widzenia. W tym hotelu, zatłoczonym i gwarnym jak miasto, usytuowanym na uboczu kurortu, Kordobin lubił spotykać się w interesach, w ich końcowej, decydującej fazie. Była niczym ostatni akord symfonii, dla którego *zainteresowany* musiał pokonać szmat drogi wijącej się między pochylonymi nad morzem skałami, które wyglądały jak zęby połączone przez jakiegoś potężnego dentystę mocującymi klamrami i zabezpieczone siatką.

Jak słusznie mawiał wujek Sioma – *żeby coś mieć, trzeba się nachodzić*. (Chociaż sam, w swym bucie ortopedycznym, miał z tym pewne problemy).

Kordobin stanął przed pokojem numer pięćset trzynaście. Bezgłośnie i szybko przeciągnął w szczelinie zamka elektronicznego plastikową kartę zdobytą u ospałej recepcjonistki: wie pani, nie chcę budzić żony, biedaczka cierpi na migreny i wcześniej chodzi spać...

W życiu nie miał żadnej żony.

Irina nigdy nie cierpiała na migreny.

I obudzić ją chciał natychmiast.

Spała jak zwykle – owinięta w kokon kołdry, niczym biały ser w picie Druzów.

Zawsze tak się opatulą i chowała, a do tego wtykała kołdrę pod boki – nic, tylko archeologów najmować, by ją odgrzebali.

Kordobin rzucił na podłogę walizkę i kurtkę, w biegu ściągnął sweter, zsunął, poruszając stopami, adidas i padł obok Iriny na łóżko, nie zdążywszy zdjąć podkoszulka i dżinsów – zamek zaciął się na wystającym załamaniu.

A kiedy Irina otworzyła oczy, razem zaczęli się wiercić, próbując pozbyć się kołdry i ubrań i mrużąc:

– ...obiecałeś, draniu, obiecałeś...

– ...i dotrzymam słowa, człowieku w futerale!

– ...co tak się rzucasz jak dzikus, zaczekaj chwileczkę! Stój...

– ...już stoję, nie czujesz?

– ...a fuj, bezwstydniku... daj mi chociaż...

– ...kto by nie chciał ci dać... proszę bardzo, i jeszcze... i jeszcze... i... jeeesz-cze...

...Przez uchylone drzwi balkonu zaglądał cytrynowy księżyc, podążający za Kordobinem w tym samym rytmie – raz unosił się nad balustradą, wytrzeszczając oko w bezwstydnym okrzyku „brawo!”, raz opadał, najpierw powoli i płynnie, potem coraz szybciej i szybciej, jakby bawiło go to nowe dla niego huśtanie – na przemian wydłużając i skracając trajektorię wlotu i upadku. Aż w końcu zamarł na zapierającej dech w piersiach wysokości, balansując i jakby po raz ostatni lustrując niebieskie przestworza... ale nagle zerwał się i pomknął, coraz bardziej przyspieszając, prawie dostając zadyszki w tej gonitwie, póki nie zastękał, nie zadrżał, nie wzdrygnął się z ulgą i nie uspokoił, wyczerpany zawisnąwszy gdzieś na tyłach niebios...

...Później Irina pluskała się pod prysznicem, co chwila przełączając wodę z gorącej na zimną (zaraz wróci do łóżka mokra jak topielica i grzej ją, póki sam nie zsiniejesz), a on próbował wyśledzić w oknie ledwo zauważalny ruch bladego nabrzmiałego księżyca, swego niedawnego towarzysza we wspólnym grzechu.

Wreszcie się podniósł i wyszedł na balkon.

Ogromny hotel na skraju migoczącego stonogo jeziora był pogrążony w głębokim śnie. W dole, w otoczeniu palm, żółty zniekształcony księżyc skakał w basenie przypominającym wypolerowaną pokrywę fortepianu. Jakieś trzydzieści metrów od basenu ciągnęła się plaża z zebranymi na noc na stosy plastikowymi leżakami i fotelami – wyglądały jak stwory o wielu odnóżach.

Zastygły blask soli w oddali sprawiał, że nieruchoma noc zatopiona była w lodowatej ciszy, niczym noc noworoczna, czekająca na cuda i prezenty.

No cóż, z prezentami nie będzie problemów.

– Zwariowałaś? Goły na balkonie? – usłyszał za plecami energiczny głos. – Wstydu nie masz! Przecież ludzie dookoła...

Czasami chciało się ją nie tyle wyłączyć, ile trochę ściszyć.

Zamknął drzwi na balkon, zaciągnął zasłonę i zapalił nocną lampkę.

– Przytyłaś... – powiedział w zamyśleniu, padając na łóżko i uważnie patrząc na Irinę w rozchyłonym szlafroku. – Podobasz mi się. Jesteś teraz podobna do Diny Vierny.

– Co-o-o?! Co to za jedna?

– Modelka Maillola. Zrzuć no ten idiotyczny szlafrok, o tak... i odwróć się plecami. A nie mówiłem: te same proporcje. Szczupłe plecy i mocna, wyrazista linia bioder. I ramię płynnie przechodzące w szyję... O rany, co za widok! Szkoda, że dawno nie trzymałem ołówka w ręku. Chrząknęła, zapadła w głęboki fotel obok łóżka i sięgnęła po paczkę papierosów.

– No dawaj, śmiało... Opowiedz o mnie coś jeszcze.

– Proszę bardzo! Chodzi o to, że gdy kobieta trochę przybiera na wadze, jej piersi robią się rozkoszniejsze, szczodrzejsze... bardziej pociągające. I kolor skóry się zmienia. Delikatna warstwa tłuszczu pod skórą nadaje ciału szlachetny perłowy odcień. Powstaje taka... hmm... przezroczystość jak przy laserowaniu obrazu, rozumiesz?

Chętnie by się jeszcze zdrzemnął przed świtem jakąś godzinę, półtorej. Ale Irina z papierosem wyglądała na pełną energii i napaloną. W każdej chwili mogła zażądać ponownego złożenia świętej ofiary. Najważniejsze, by nie zaczęła wyjaśniać stosunków.

– A potem, no wiesz... – Ziewnął i przewróciwszy się na bok, kontynuował: – Ten miarowy ruch

bioder, widok z tyłu i z góry, zwariować można, jeśli w dodatku dłońmi...

– Kordobin, ty draniu! – Przechyliła się i rzuciła w niego pustą paczką po papierosach. – Jesteś jak podstępny wąż! Prawdziwy Casanova, sprośny uwodziciel!

– Nie – wymamrotał, zapadając w nieuchronny sen. – Jestem po prostu... zakochany...

Była to szczerza prawda. Kochał kobiety. On rzeczywiście kochał kobiety – ich bystry umysł, praktyczność, dobre oko potrafiące wychwytywać detale; ciągle powtarzał, że inteligentna kobieta jest bardziej niebezpieczna od mężczyzny, ponieważ do zwykłej przenikliwości dochodzi wówczas emocjonalna, prawdziwie zwierzęca czujność, intuicyjnie wyłapująca coś, czego nie da się wyjaśnić logicznie.

Przyjaźnił się z nimi, wolał z nimi robić interesy, darzył je większym zaufaniem i uważał, że są lepsze od mężczyzn. Sam siebie często określał jako bardzo kobiecego mężczyznę. Zawsze był pełen ciepła w stosunku do kobiet i w każdej dostrzegał coś pięknego.

Obudził się jak zwykle o wpół do szóstej. Już od wielu lat jakiś pilny i niezmordowany anioł zarządzał w swoich niebiańskich koszarach budzenie, i on co do minuty – jakkolwiek sen by mu się śnił, jakiegokolwiek zmęczenie zwałało go z nóg dwie godziny wcześniej – z rezygnacją otwierał oczy dokładnie o wpół do szóstej... i mamrocząc pod nosem przekleństwa, włókł się pod prysznic.

Do tego wszystkiego dziś znów mu *pokazano blaszankę*.

Niby się podnosi, dźwigając się z wielkim trudem – w *tych* snach wszystko zawsze odbywa się w obowiązkowym ciągu ociężałych ruchów – siada na łóżku, próbuje rozlepić powieki... I widzi, że na niskim stoliku w salonie stoi – do licha! – ta *pogięta blaszanka*... Nie, mówi do siebie (wszystko w tym przeklętym śnie dzieje się według dawno sprawdzonego scenariusza), to nie blaszanka, idioto, tylko srebrny szabasowy kielich, stara rodzinna relikwia, choć trochę wgnieciona z boku; przecież spadła z ciężarówki. Żuka, sierota (wojna, zima, ewakuacja), nie wystraszyła się, wlaźła pod koła i go wyciągnęła! Ty zaś, drań, swołocz i oszust... poszedłeś i oddałeś go do skupu w antykwariacie, bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Najważniejsze, że już potrafiłbyś przeczytać napis biegnący wokół kielicha. Wcześniej nie potrafiłeś, nie rozumiałeś jeszcze tych dziwacznych znaczków, a teraz bez trudu byś przeczytał, skoro to jest po hebrajsku, no nie?

Ależ, Żuko, wystękał po raz kolejny (scenariusz się spełniał, sen toczył się pod górę, a ściślej mówiąc, z trudem się wtaczał), przecież sto razy już prosiłem cię o wybaczenie... zrozumiałem swoją winę... szukałem! No i po co znów się kłócimy, na Boga: przecież stoi tu! Stoi – ciemny, masywny, w srebrnej sukience, od dawna nieczyszczony, tak że stateczka nie widać.

I znów wyciąga rękę, z oporem, jak w wodzie, pokonując grubą warstwę snu. Wyciąga tę rękę i wyciąga... wreszcie chwytą ów ciężki kielich, obraca w dłoni, przysuwa bliżej oczu. Po trzech lekkich falach mknie trzymasztowy galeon, a wzdłuż srebrnej sukienki biegną kanciaste – teraz już dobrze czytelne – litery: „Pociąg do Monachium odchodzi z drugiego peronu o dwudziestej drugiej trzydzieści”.

I wtedy się obudził. Mimo wszystko się obudził. Boże, ile można...Wybacz mi, Żuko!

Długo stał pod piekącym biczem gorącej wody, potem gwałtownie przełączył na zimną i stękając z rozkoszy, chwilę rozcierał się twardą myjką, którą wszędzie ze sobą woził.

Bez pośpiechu się golił, cicho pogwizdując, żeby nie obudzić boa dusiciela w łóżku...

Wspaniałego pulchnego boa, którego sprężyste pierścienie, tak słodko pulsując, ściskają... hmm. Nie można jednak pozwolić jej na to, by nadal tyła.

Starannie goląc wysunięty do przodu podbródek (w codziennym goleniu to największy problem – twardy, niczym jędrne jabłuszko, podbródek z trudno dostępnym dołeczkiem pod dolną wargą), uważnie przyglądał się sobie w wielkim lustrze w łazience.

A ty schudłeś, chłopie... Wujek Sioma powiedziałaby: *skurczyłeś się*. W młodości był raczej krzepki. Często brano go nawet za boksera. Teraz wyszczupłał, zgodnie z typem osobowości.

Nos mu się tak jakoś... wyostrzył, czy co... Arystokrata się znalazł, kurdemol.

Tylko język gęstych czarnych włosów (rodzinny trwały pigment – rzucał lekko w odpowiedzi na komplementy) oraz czarne jak smoła brwi, proste i prawie zrosnięte nad głęboko osadzonymi szarymi oczami, ani trochę się nie zmieniły. No i w kącikach ust te pionowe kreseczki, które nadawały jego twarzy wyraz dziecięcej ufności, wiecznej gotowości do uśmiechu: kocham cię, mój ogromny, dobry świecie... Tak, to jego atut. Może jedyny, jak myślisz, chłopie?

Kiedy wyszedł na paluszkach z łazienki, żeby wyciągnąć z walizki koszulę i garnitur, okazało się, że Irina też już się obudziła – cholera, jaka szkoda, że również jest skowronkiem! – i leży w swoim kokonie, rozczochrana, w paskudnym humorze, w stanie pełnej gotowości bojowej.

– Uciekasz jak tchórz – powiedziała, z uwagą i ironią obserwując, jak się ubiera.

– Aha – uśmiechnął się do niej szeroko. – Potwornie tchórzę! Ja w ogóle bardzo się ciebie boję i uniżenie ci się wysługuję. Popatrz tylko na te spinki. Poznajesz? Uwielbiam je, wszystkim pokazuję: „Prezent od ukochanej kobiety”.

– Ukochanej kobiety. Masz ich w każdym mieście na pęczki.

– Na pęczki?! Jezu, po co aż tyle! „Komu to jest potrzebne i kto to wytrzyma”, jak mawiał mój wujek Sioma z Winnicy...

– Co za drań z ciebie, Kordobin! Przecież postanowiliśmy, że odtąd wszędzie będziemy jeździć razem.

Z tym to już naprawdę przesadziła. Paskudne wspólnotowe połączenie – „my”. Dożywotne *myczenie, mydlenie* oczu przelotną łaską *myłości*... Niedobry znak. Czyżby pora na przekwalifikowanie jej z kochanki na przyjaciółkę? Szkoda, dobrze mu z nią było, z Iriną. Prawdę mówiąc, łączyły ich w ciągu tych trzech lat idealne stosunki, bez żadnych tam zbędnych „my” i „nam”. Nam, dziecinko, budować i żyć pomaga właśnie nasza samotna czujność, wilcza wychudłość, drżenie nozdrzy wyczuwających trop. Więc nie ma mowy o żadnym „my”.

– Nie zmuszaj mnie, bym znów zdejmował portki, moja pani – ciągnął głupekowato żalonym tonem. – Tyłek mi marznie! Przecież widzisz, żem w pełnym rynsztunku.

A jednak podszedł do łóżka i w garniturze położył się obok niej, zaspanej, nieszczęśliwej.

Wymacał i stanowczo wyciągnął z kokonu kołdry jej nagą rękę, zaczął całować, posuwając się od palców w stronę ramienia: starannie, dokładnie, centymetr po centymetrze, mamrocząc przy tym coś żartobliwie lekarskiego.

Miał zasadę: żadnych zdrobnień. Używać wyłącznie pełnych, dźwięcznych, pięknych kobiecych imion. Żeńskie imię jest święte, zdrabniać je to bluźnierstwo bliskie świętokradztwu.

Od razu złagodniała, roześmiała się od łaskotek, przycisnęła do ucha nagie ramię.

– Ładnie pachniesz: jaśmin... zielona herbata... Co to za woda kolońska?

– „L’Occitane”. W duty-free wcisnęli, w Bostonie. Sprzedawczyni była taka sumienna, bardzo się przykładała do pracy. „Stara firma, stara firma... flakonik ręcznie robiony”. Kupiłem, żeby dała mi spokój. – Usiadł na łóżku, zerkając ukradkiem na zegarek. – Posłuchaj mnie, skarbie, mówię poważnie: nie martw się. Co to za przyjemność tkwić na uniwersyteckiej konferencji o ponurym temacie *El Greco: un hombre que no se traiciono a si mismo*.

– Co to znaczy?

– A co za różnica? „El Greco: człowiek, który pozostał wierny sobie”. Idiotyczny temat, kolejna bezsensowna konferencja. Toledo tak w ogóle jest ponurym miastem, zwłaszcza w deszczowy kwiecień... Naprawdę, wolałbym opalać się tutaj. Podrzucić ci trochę grosza na te twoje kąpiele wodne... no, z tymi wodorostami? „Madame jest na wakacjach, madame ma do tego prawo”. Było to jedno z ich ulubionych powiedzonek, których nazbierało się w ciągu trzech lat niemało; taką uwagę rzucił sprzedawca drogiego sklepu w Sorrento, gdzie Irina sprzeciwiła się „wydawaniu ogromnych pieniędzy na torebkę”.

Roześmiała się i powiedziała:

– No dobrze już, zmiataj. Kiedy masz samolot?

Tym razem popatrzył na zegarek, nie kryjąc się, ze zmartwionym wyrazem twarzy.

– O-o... spadam! Bo się spóźnię.

Zerwał się, chwycił kurtkę, walizkę, obejrzał się w drzwiach i posłał całusa w kierunku łóżka. Ale Irina znów szczelnie się opatulila i z kołdry wystawał tylko rozczochrany czubek głowy.

Biedna ty moja, porzucona, pomyślał, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi.

Zszedł na niższe piętro i zatrzymał się, nasłuchując ciszy śpiącego jeszcze hotelu; gdzieś na dole, koło basenu, beztrosko gawędzili ze sobą sprzątacze, ich głosy niósł się daleko. Słychać też było, jak z trudem przeciągają po mokrym betonie gumowe szlauchy, przypominające pierścienie węża. Oparł się plecami o drzwi, rozpiął zamek błyskawiczny walizki i wyciągnął granatową, robioną na drutach rękawiczkę na prawą dłoń – dziwną rękawiczkę, z wycięciami na poduszczykach palców – oraz swój niewinny jeszcze, automatyczny Glock.

A zresztą, po co od razu tak się... stresować. Schował pistolet do kieszeni marynarki, włożył rękawiczkę, poruszając przy tym palcami jak pianista przed pierwszym brawurowym pasażem, wyciągnął komórkę i wystukał numer.

– Władimirze Igoriewiczu? Nie obudziłem?

– Zacharze Mironowiczu, kochany! – W słuchawce rozległ się głos pełen szczerzej wdzięczności. – Witam pana! To wspaniale, że jest pan taki obowiązkowy. A ja od szóstej rano na nogach i miejsca nie mogę sobie znaleźć. Kiedy pan wpadnie? Jestem w pokoju numer czterysta dwa.

– No to świetnie. Zaraz będę.

Pistolet zniknął z powrotem w szczęce walizki; taka radosna, pełna szacunku wdzięczność, brzmiała w głosie klienta, była nie do podrobienia. Kordobin miał słuch wyostrzony jak zwierzę i doskonale wyczuwał każdą zmianę w barwie głosu czy intonacji.

Nie pomylił się; wypucowany do błysku Władimir Igoriewicz czekał w otwartych drzwiach apartamentu, a jego ogromny brzuch falował. Ciekawe, jak mu się udaje omijać każdego ranka w czasie golenia te wszystkie brodawki, którymi usiana była jego twarz? I czemu nie zapuści sobie brody – a może w niepisanym kodeksie *nowobogackich* broda oznacza, że człowiek ma coś do ukrycia?

– Nie przez próg! – zawołał grubas, cofając się z trzymaną w pogotowiu dłonią wyciągniętą na powitanie.

Według pewnych nieoficjalnych informacji świeżo upieczony kolekcjoner posiadał jakieś zakłady w Czelabińsku. A może kopalnie? I nie w Czelabińsku, tylko na Czukotce? Cholera go wie, nieważne. Niech archanioł Gabriel ma w swojej opiece wszystkich, którzy mają pieniądze na kawałek płótna pokryty kazeinowym klejem i farbami olejnymi.

Rzeczywiście, czekał i się denerwował; przez uchylone drzwi sypialni widać było po żołniersku schludnie zaścielone łóżko.

Obraz – płótno naciągnięte na blejtram – czekał na swoją kolej, odwrócony do oparcia kanapy. Jak jednak wzruszający są ci kolekcjonerzy amatorzy. Wszyscy drżą w oczekiwaniu na chwilę, kiedy ekspert wreszcie skieruje na ich obraz swe przeszywające niczym rentgen spojrzenie. Zdarza się też, że na kanapę czy fotel, gdzie ustawiają obraz, narzucają białe prześcieradło, aby uchronić bezcenny wzrok *znawcy* przed natrętnym kolorowym otoczeniem. Antyseptyczna biel sali operacyjnej albo dziecięca zabawa typu zamknij mocniej oczka, otworzysz, kiedy ci powiem!

W takim razie, drogi Władimirze Igoriewiczu, zaraz usłyszysz pan krótką lekcję o marności i efemeryczności *znawstwa*.

Kordobin postawił walizkę na podłodze i rzucił na nią kurtkę.

– Nie przeszkadza panu, że podaję lewą rękę? – zapytał, niezgrabnie ściskając pulchną łapę kolekcjonera (powinien był się odwrócić i podać dłoń zza pleców) i uśmiechając się jednym ze swoich najbardziej promiennych uśmiechów. – Wieloletni artretyzm, proszę mi wybaczyć. Zdarza się, że wyję z bólu jak baba.

– Co pan powie! – zmartwił się grubas. – Próbował pan może maści „Złoty wąs”? Moja żona bardzo ją chwali.

– Czego to ja już próbowałem, ale mniejsza z tym. Wczoraj pan przyjechał?

– Oczywiście! Jak tylko pan powiedział, że dziś wylatuje i że to jedyna okazja, by pana złapać, od razu zarezerwowałem hotel i niczym ów tenor z opery: „o brzasku u pana stóp!”.

Ciekawe, gdzie on słuchał tej opery. Może w Czelabińsku? Nie, kochany, uchowaj Boże, żebyś leżał u moich stóp...

Na niskim stoliku stały butelka courvoisiera i dwa kieliszki do koniaku, ale widać było, że biedak nie może znaleźć sobie miejsca: ani usiąść nie zaproponował, ani się napić. Co znaczy pasja, to rozumiem...

– No cóż, zaczynamy – powiedział Kordobin. – Bo ja rzeczywiście bardzo się spieszę.

– Jedno słowo – podchwycił Władimir Igoriewicz, nerwowo pocierając dłonie takim ruchem, jakby wkręcał jedną w drugą. – To konieczne... Pan, Zacharze Mironowiczu, ma do czynienia z różnymi ludźmi, a teraz nawet ostatnie było wie, w co trzeba inwestować. Rozumiem pańską niechęć do podobnych jak ta, narzuconych panu znajomości. Proszę nie zaprzeczać, coś o tym wiem! Widzi pan, Zacharze Mironowiczu... ja dopiero raczkuję, jeśli chodzi o kolekcjonerstwo... przedtem nie miałem możliwości, by interesować się sztuką, bo skąd u zwykłego radzieckiego inżyniera wynalazcy pieniądze? Ale od zawsze byłem miłośnikiem malarstwa, od młodych lat. Pamiętam, jak przyjeżdżałem do Moskwy w delegację na trzy dni, zostawiałem walizkę w hotelu i biegiem do Puszkina czy Tretiakowki... Wstyd się przyznać, ale sam też trochę maluję... No i dużo czytałem. Pańską książkę *Losy rosyjskiej sztuki za granicą* też w internecie znalazłem i przeczytałem. To dla mnie zaszczyt, zaprosić pana do siebie.

– Do Czelabińska? – zapytał z ciekawości ekspert.

Z prawdziwą przyjemnością obserwował, jak szczerze jego klient pragnął odciąć się od *bydła*.

– Po co do Czelabińska? – Władimir Igoriewicz się uśmiechnął. – Swoją kolekcję wolę trzymać tu, u siebie, w Cezarei. I jeśli dziś... jeśli sam Kordobin wyda pozytywną opinię o autorstwie... Krótko mówiąc, jeśli powie pan zaraz swoje „tak”, będzie to mój trzeci Falk. Najlepsy!

Podbiegł do kanapy – przy całej swej tuszy nie był pozbawiony pewnej gracji hipopotama – i odwrócił obraz w stronę Kordobina, stając obok niczym strażnik. Potwornie spięty, z zaczerwienioną łysiną, rzucał pytająco-błagalne spojrzenia to na eksperta, to na obraz. Czy nie zapomniał przypadkiem zażyć dziś tabletki na nadciśnienie – oto jest pytanie.

Kordobin usiadł w fotelu, niespiesznie wyciągnął okulary z kieszeni marynarki, bez słowa je włożył i zaczął przyglądać się płótnu z tej odległości.

Był to pejzaż. Krzak na pierwszym planie, a za nim szary płot na lotnisku oraz niewielki odcinek ścieżki, po której szła – niewyraźna o zmierzchu – kobieta. W tle czerwony dach domu i kępa drzew...

– Z okresu chotkowskiego? – zapytał.

– Zgadza się! – ucieszył się Władimir Igoriewicz. – Co znaczy ekspert! Tak właśnie się nazywa: *Pochmurny dzień. Chotkowo*. I stara właścicielka pamięta właśnie ten tytuł. Może pan sobie wyobrazić: nazwiska autora zapomniała, a tytuł zapamiętała na całe życie, jak wiersze!

– Bywa – westchnął Kordobin. – A co z provenancją?

– Wydaje mi się, że wszystko w porządku – odparł kolekcjoner, wykazując chwalebne rozeznanie w terminologii *przedmiotu*. – Jest pisemne potwierdzenie właścicielki. Staruszka to wdowa po izraelskim adwokacie średniej klasy, przy czym była jego drugą żoną. Pamięta, że obraz wisiał na ścianie przez dwadzieścia pięć lat ich małżeństwa i że mąż wywiózł go w pięćdziesiątym szóstym z Moskwy.

– Kupił? Dostał w prezencie? Jakież szczegóły?

– Niestety żadnych. Biedaczka ma zaawansowanego alzheimera. – Machnął ręką. – Jak dla mnie, to nawet i lepiej: przynajmniej wszystko wygląda tak rodzinnie i naturalnie. I co

najważniejsze, w bezpiecznej odległości od rosyjskiego rynku z jego marnymi podróbkami. Słusznie. Jeśli chodzi o rosyjski rynek – trafiłeś w sedno, kochany. A stare wdowy – czemu one są takie cenne? Bo mają słaby wzrok i zaawansowanego alzheimera: za cholerę nic nie pamiętają prócz tego, co zdarzyło się przed chwilą.

(Przypomniało mu się ostatnie, dość męczące spotkanie, kiedy starucha, wygładziwszy dłonią otrzymany od niego plik zielonych, była łaskawa napisać potwierdzenie. „Znów zapomniałam tytułu... Niech pan, Zacharku, zerknie, może jest umieszczony z tyłu?” A on obrócił płótno i wpatrując się w nieistniejący napis, wyraźnie podyktował „Pochmurny dzień kropka Chotkovo”).

– Podać panu obraz? – Władimir Igoriewicz rzucił się usłużnie, gotów chwytać, przekazywać, podtrzymywać, rozkładać i oświetlać... Miał ochotę krążyć wokół obrazu i pieścić go rękami i wzrokiem – to całkiem naturalny, podobny do zakochania stan, charakterystyczny dla prawdziwego kolekcjonera, którym zaraża nawet i szanownego eksperta. Nawiasem mówiąc, historia *przedmiotu* zna też przypadki wdzięcznego całowania rąk.

– Chwileczkę. – Kordobin zdjął okulary, starannie, niczym dłonie zmarłego, złożył zauszniki modnej oprawki, odczekał. – Przede wszystkim chciałbym coś wyjaśnić, Władimirze Igoriewicz: potrzebna jest panu moja opinia czy mój podpis pod opinią?

Grubas jęknął, zaczerwienił się. No cóż... Reaguje emocjonalnie i chyba rzeczywiście kocha sztukę, nie jest jakimś burakiem, było nie było, ukradł zakład... a może kopalnię?

– Zacharze Mironowiczu! Kto by chciał, żeby mu wcisnęli do kolekcji *falszyfikat*?!

– Różnie to bywa. – Kordobin się uśmiechnął. – Jakies osiem lat temu byłem ekspertem ze strony kupującego. Pamiętam, że chodziło o dwa obrazy: Maszkowa i, nawiasem mówiąc, Falka. Otóż nawet nędzny ślepiec z zaawansowaną zaćmą obojga oczu połapałby się, że zostały namalowane przez tego samego człowieka. Przy czym machnął je za jednym razem. Nie było więc żadnych wątpliwości. Niemniej jednak „kolekcjoner” się uparł i natarczywie żądał ustalenia ceny. Znalazłem się w głupiej sytuacji. Oczywiście w takich przypadkach idealnym rozwiązaniem jest porównanie zdjęć rentgenowskich: przecież fałszerze podrabiają tylko widoczną część obrazu, fakturę końcowych pociągnięć, i nie stać ich na to, by zastanowić się nad kompozycją. Ale żeby prześwietlić, trzeba mieć aparat i rentgenologa.

– I co? – spytał Władimir Igoriewicz z takim wyrazem twarzy, jakby śledził finałowy pościg w thrillerze.

– Bez słowa wsiadłem do samochodu i odjechałem, ponieważ nigdy nie podpiszę się pod falszyfikatem. Ale dwa lata później te zuchwałe bliźniaki zostały wystawione na pewnej poważnej aukcji z opinią bardziej ugodowego eksperta z Art-Modusu i sprzedane za niezłą sumkę. Bardzo niezłą. Pięć razy drożej, o ile pamiętam... Tak to. A w domu kapitana legendarnego „Exodusu”... tak, tak, właśnie tego... widziałem ogromnego Malewicza: dwa metry na trzy, choć tak naprawdę obraz nigdy nie został przez niego namalowany. Sławny kapitan bardzo go lubił. Mimo szczyrych opinii wielu ekspertów. Otóż... Władimirze Igoriewicz... – ciągnął w zamyśleniu. – Spójrzmy prawdzie w oczy. W ostatnim czasie pogoń za rzeczywiście cennymi dziełami sztuki staje się coraz bardziej bezwzględna. Władza eksperta wyrasta do jakichś nieprawdopodobnych, przesadnych rozmiarów. I choć jest to też mój zawód... Pozwoli pan, że będę szczery? Czuję niesmak, że w oczach pana jestem czarodziejem i magiem. Nie jestem magiem.

– Ależ mój ty Boże! – Kolekcjoner zamachał rękami. – Ja dobrze rozumiem i zdaję sobie sprawę, że...

– A teraz przyjrzyjmy się temu bliżej.

Władimir Igoriewicz rzucił się w stronę obrazu i trzymając go w wyciągniętych rękach, ostrożnie podał ekspertowi.

Ten bez słowa odwrócił obraz i zaczął oglądać blejtram i płótno z tyłu... Przez kilka minut ciszę

przerywały tylko podniecone posapywania grubasa, uniżenie pochylonego w napięciu, oraz wybuchy dziecięcych wrzasków z dołu przy akompaniamencie plaskania wody, a kobiecy głos przeciągle wyśpiewał: „Mówię ci, że zaraz dostaniesz w tyłek...”.

– Pan oczywiście wie – odezwał się wreszcie Kordobin – że za rzetelną ekspertyzę jest uważana ekspertyza kompleksowa, czyli oprócz opinii historyka sztuki niezbędny jest szereg badań technicznych: prześwietlenie rentgenem, analiza chemiczna... Można też poczarować z mikroskopem, wymyślić coś o pigmentach wiążących... Takie opinie uzyskuje się zwykle w jakichś solidnych komisjach eksperckich.

– Zacharze Mironowiczu! – zaczął błagać kolekcjoner. – Bóg z nimi wszystkimi. Potrzebuję wyłącznie pańskiej opinii. Co pan myśli o tym obrazie?

– O nie, chwileczkę. Spieszę się, ale bardziej obchodzi mnie własna reputacja niż to, że jestem spóźniony. I teraz chcę być z panem szczerzy jak nigdy. Patrzy pan na mnie jak na Pana Boga, Władimirze Igorowiczu, a ja, niestety, nie daję przepustki do raj. Najgorsze jest to, że i tak nikt nie bierze na siebie pełnej odpowiedzialności za wyniki ekspertyzy. Czytał pan pewnie o najgłośniejszym skandalu dwudziestego wieku, kiedy doświadczony ekspert, historyk sztuki Abraham Bredius wziął podróbkę van Meegerena za dzieło Vermeera? A ostatni skandal z obrazem niby Szyszkina, a tak naprawdę Holendra Mariusa Kukukka, co przegapiła Tretiakowka? I pewien rosyjski „kolekcjoner” za wie-e-ele tysięcy zielonych nabył „totalny szmelc”; nawiasem mówiąc, ten specjalistyczny termin usłyszałem od jednego z dilerów z dziesięcioletnim stażem kryminalnym. Postanowił zamienić rekiet na handel antykami, ponieważ ten biznes daje większe zyski i *poważanie*.

Ale najbardziej tragikomiczne w naszym fachu jest to, że czasami również sam malarz nie jest w stanie odróżnić swojej pracy od podróbki. Kiedy Claude Latour, znana francuska fałszerz, została przyłapaną i postawiona przed sądem, sam Utrillo znalazł się w śmiesznej sytuacji: nie potrafił zdecydowanie stwierdzić, czy obraz był namalowany przez niego. A Vlaminck się chwalił, że kiedyś namalował obraz w stylu Cézanne’a i ten przyznał się do jego autorstwa...

– To... co w takim razie robić? – bezradnie westchnął grubas. – Gdzie gwarancja...

– Ależ nie ma żadnej gwarancji, kochany! – zawołał dramatycznie Kordobin. – Jaka tam gwarancja: muzea świata i prywatne kolekcje są w jednej trzeciej wypełnione fałszyfikatami, mimo użycia wszystkich tych analiz, rentgenów, promieni podczerwonych i ultrafioletowych! Czy pan sądzi, że mistrzowie fałszyfikacji są głupszy od nas, ekspertów? Są wśród nich prawdziwi mistrzowie, wysokiej klasy profesjonalści... Świetnie się znają na metodach ekspertyz, biorą pod uwagę wszystkie techniczne kryteria autentyczności, nawet psychologię samych ekspertów!

– Jakie jest w takim razie wyjście...

Kordobin wyjął z kieszeni chusteczkę, niespiesznie przetrął nią szkła, ponownie włożył okulary – przywrócił do życia nieboszczyka. I z prawdziwą przyjemnością spojrzął na klienta. Świetna robota: kolekcjoner znalazł się we właściwym stanie zamarczenia. Zaraz zaczniemy rozmrażanie i reanimację...

– Co robić? – zapytał. – Ano patrzeć i dostrzegać. Ja wolę wyciągać wnioski na podstawie stanu warstwy kolorystycznej. To nigdy nas nie zawiedzie, nie oszuka, pod warunkiem że umie się ją prawidłowo odszyfrować. Jest w niej wszystko: styl, emocjonalny rytm, indywidualne pociągnięcie pędzla, sposób nakładania farby, wszystko, co jest właściwe temu konkretnemu malarzowi... Wie pan, to tak jak w przypadku szpiega, który zmienia swoją powierzchowność: kształt brwi, nosa, kolor włosów, wszystko może zmienić... ale nie to, że kiedy idzie, na przykład, pierwszy krok zawsze stawia lewą nogą, i już! Ta lewa noga go zdradza. Chociaż, oczywiście, nie można całkiem negować znaczenia ekspertyzy technicznej. I pan ma pełne prawo ją zlecić. Ja natomiast tylko patrzę na obraz i... tak, sądzę, że autorem jest Falk, i zaraz wyjaśnię dlaczego; ale proszę wziąć pod uwagę fakt, że to jest tylko moje przypuszczenie, że polegam wyłącznie na doświadczeniu, a tak naprawdę na intuicji, a jeszcze precyzyjniej: na psim węchu, proszę mi

wybaczyc to jakze prostackie porownanie.

Odchylił się na oparcie fotela, przytrzymując lewą dłonią spoczywający na jego kolanach pejzaż...

Teraz, kiedy przebrzmiała uwertura i wszystkie tematy symfonii pod tytułem *Narodzenie z piany morskiej nowej Wenus* zostały wykonane, można było przejść do swobodnych wariacji. Lubił takie gwałtowne przejścia do wydawałoby się nic nieznaczących bajeczek, plotek o wielkich, pouczających historyjek, które komuś się przydarzyły... Przypominało mu to preludium do aktu miłosnego, kiedy każdy zniecierpliwiony ruch może zgasić narastające słodkie podniecenie, chęć posiadania... w naszym wypadku obrazu, nie kobiety, ale to jest to samo. Wenus już się rodziła... Już, można rzec, ukazał się jej rozczochrany rudy czubek głowy wśród spienionych fal... Poza tym dobrze by było pozwolić klientowi się rozprostować, w przeciwnym razie może mu strzelić w krzyżu, przecież swoje lata już ma. I wtedy potrzebny będzie „Złoty wąs”.

– W latach osiemdziesiątych w Moskwie, w zaułku Ławruszyńskim, żył sobie pewien staruszek inwalida, poruszał się o kulach... Ale niechże pan usiądzie, Władimirze Igorowiczu, i się odpręż. Tu proszę sobie klapnąć, naprzeciwno, przy okazji będzie pan mógł podziwiać swojego Falka. Otóż staruszek był członkiem komisji eksperckiej w Muzeum Puszkina. Nie tego na Wołchonce, tylko innego, literackiego, na Priezistience. Ale nieważne. Kiedy muzeum chciało nabyć kolejny obraz, zbierała się oczywiście komisja i wszyscy eksperci się wypowiadali. A staruszek milczał. Wypowiadał się zawsze jako ostatni. Wtedy wszyscy milkli, a on pochylał się nad odwrotną stroną obrazu i go wachał. Rozumie pan? Długo, długo tak wachał... I ogłaszał werdykt. Nikt nie wiedział, co on tam wywachał w tych starych płótnach. Ale ufali jego włóchatym nozdrzom bardziej niż jakiemuś przyrządowi. Zgodzi się pan, że nie ma to nic wspólnego z naukowym podejściem. Jaka tam nauka, zwykła intuicja znawcy. Ale i handlarzom sztuki, i wam, kolekcjonerom, nic po naszych przypuszczeniach. Wy żądacie jednoznacznych pozytywnych wniosków, nieprawdaż? Wystarczy popatrzeć, jak pan się denerwuje i chce, przecież widzę, że bardzo pan chce, bym potwierdził autorstwo Falka! Niech pan tu podejdzie, bliżej... Ekspert podniósł się i odsunawszy dłonią butelkę i kieliszki, położył obraz na stoliku, dobrze rozjaśnionym porannym światłem wpadającym przez uchylone drzwi balkonu.

– Widzi pan, jakie piękne jest światło, kiedy słońce jeszcze nie wzeszło? Nieprzypadkowo wyznałem panu spotkanie tak wcześnie. – Wyciągnął z kieszeni lupę. – Zresztą – powiedział – tu nawet lupy nie trzeba. Niech pan sam spojrzy. Zaraz szczegółowo panu wyjaśnię swój tok rozumowania. Zrobię z pana współnika, a jeśli pan chce: współautora ekspertyzy. Otóż pierwsze wrażenie: płótno jest w świetnym stanie. Sądzę, że to fabryczny podkład. Falk, w odróżnieniu od Konczałowskiego, który sam gruntował płótna, chętnie korzystał z gotowych radzieckich płócien jakiegoś leningradzkiego czy podolskiego zakładu, zresztą francuskimi też nie pogardzał, ale to przed wojną... Blejtram krajowy, też stary, lata czterdzieste. Skąd to wiem? I płótno, i blejtram zestarzały się jednakowo pod wpływem światła. No i naturalnie zanieczyszczenia. Tu, pod dolną ramką blejtramu, kurzu i brudu jest trochę więcej... niech pan sam spojrzy. Nie mówiąc już o musznych odchodach... A muszki się tu zdrowo napracowały, ale one, kochane, w tym wypadku są naszymi sojusznikami. W ten sposób przekonujemy się, że płótno zostało naciągnięte na blejtram nie wczoraj. Idziemy dalej: warstwa kolorystyczna...

Lekko się wyprostował, skrzywił się z powodu bólu w ręce... ostrożnie rozmasował przegub.

– Chce pan wiedzieć, Władimirze Igorowiczu, na co przede wszystkim zwracają uwagę eksperci techniczni przy wyborze metody? Na plastykę warstwy kolorystycznej. Wbiją igłę i od razu panu powiedzą: „To namalowano wczoraj”. Co mamy w naszym przypadku? Widać, że obraz nie tak dawno przeszedł delikatną i bardzo profesjonalną konserwację z powodu niewielkiej utraty warstwy kolorystycznej.

– Jak pan to ustalił? – zawołał zachwycony kolekcjoner. – Przecież tego w ogóle nie widać!

Informowano mnie o konserwacji, ale nie potrafiłem...

– Niech pan spojrzy... – Ekspert zbliżył lupę do płótna: grzbiet dachu pod szkłem powiększającym wybrzuszył się niczym zrumieniony piernik. – W dwóch miejscach: tu... i tu dokonano poprawek restauracyjnych, to znaczy wprowadzono podkład i bardzo precyzyjnie zagruntowano płótno. Ale farba jest bardziej... hmm... powierzchniowa, świeża, nie widzi pan tego? Idziemy dalej: naturalna lekka krakelura, czyli te małe pęknięcia, odpowiada warunkom czasowym i typowym dla Falka zniszczeniom. Wydawałoby się, że stan obrazu w pełni odzwierciedla jego pochodzenie. Ale!

Poucześnie uniósł palec wskazujący i po znaczącej przerwie kontynuował:

– Ale stare płótno można zdobyć; krakelurę, stosunkowo „młoda”, też nie problem podrobić. Nie jest to jednak rzecz najważniejsza. Istotna jest warstwa kolorystyczna, jej życie... Proszę się przyjrzeć. Co widzimy? Zdumiewająco wielowarstwowe malarstwo, a takie niełatwo podrobić: gama odcieni szarego i zielonego koloru jest niezwykle skomplikowana... Wdowa po Falku, Angelina Szczokina-Krotowa, wspomina gdzieś, że zapytała go pewnego razu: „Czy ty sam wymyślasz tyle odcieni zielonego?”. Niech pan zwróci uwagę... dobrze pan widzi? Ależ proszę się przysunąć bliżej, niech się pan nie krępuje. Proszę popatrzeć: w górnych warstwach na równi z posługiwaniem się pędzlem widać użycie kielni. To typowy dla Falka sposób na wypełnienie plastycznej przestrzeni płótna. Krzak na pierwszym planie namalowany jest swobodnie i pobieżnie; wzrok widza jakby omija go i zatrzymuje się na płócie... Widać, że jest początek jesieni, co potwierdzają wspomnienia wdowy. Mówiła, że lato tamtego roku skończyło się gwałtownie, szybko zrobiło się zimno, cały czas padało... co również wskazuje na autentyczność dzieła. Proszę popatrzeć: powietrze na obrazie jakby wibruje, warstwa farb w niektórych miejscach... tu... tu... i tu leży grudkami, co w naszym przypadku jest bezcenne.

Kordobin ostrożnie i czule, jak ślepiec, pogłaskał płótno poduszczkami palców, odchylił głowę i szeroko się uśmiechnął, żeby zademonstrować dziecięco ufne kreseczki w kąciakach ust.

– Niczego to panu nie przypomina? Co? Na przykład, mozaiki... Może zainteresuje pana informacja, że po częściowym wyschnięciu obrazu Falk przecierał jego powierzchnię czosnkiem, żeby rozmiękczyć górną warstwę w celu odświeżenia koloru. Aleksandra Wieniaminowna Azarch-Granowska, jego szwagierka, opowiadała mojemu przyjacielowi, który ją odwiedzał w czasach, kiedy była już bardzo stara, że pewnego razu zrobiło jej się słabo od ostrego zapachu w całym mieszkaniu, a miała alergię na czosnek. Skierowała się w stronę jego źródła i znalazła na balkonie natarty czosnkiem obraz. I chociaż od czasu namalowania tego pejzażu minęło sześćdziesiąt lat, nasz znajomy staruszek, nasz inwalida z żoną Ławruszyńskiego, bez wątpliwości wywąchałby swoim nadzwyczaj czułym nosem ten bardzo słaby już zapach. Może i panu się uda? Niech się pan pochyli niżej...

Zaintrygowany Władimir Igorowicz posłusznie się nachylił, ufnie przysunął twarz prawie ku samej powierzchni płótna – tak drżące z pożądania usta wysuwają się ku upragnionemu łonu – i głośno wciągnął powietrze. Na jego szarej błyszczącej łysinie widać było gwiazdny wysyp ciemnoczerwonych pieprzyków.

– W rzeczy samej... – powiedział załamującym się głosem, nerwowo poruszając nozdrzami. Jak Boga kocham, jest... słaby zapach! Czuję go w nocy. Skąd tu, myślę, czosnek?

Wyglądał na poruszonego, przekonanego... i już się cieszył.

– Zaraz, chwileczkę. – Kordobin powstrzymał go ruchem podniesionej dłoni w granatowej rękawiczce. – Gdzie pańska sumienność, kolego? Za co pan mi płaci? Jeszcze nie skończyliśmy. Otóż... W obrazie, jak już mówiłem, dominuje ulubiona paleta Roberta Falka: szare tony w najróżniejszych odcieniach, od żółto-zielonkawo-szarej gamy po fioletowo-szaro-perłową. Tę przeważającą szarawo-niebieskawą gamę z domieszką ochry burzą dwie plamy: szmaragdowozielony krzak przed płótnem i czerwony dach domu... Nawiasem mówiąc, jest to były dom duchownego, z wielkim starym sadem... wiekowe lipy, podniszczony nieduży taras... o

wszystkim można przeczytać we wspomnieniach Angeliny Wasiljewny, wdowy. I jeśli się uważniej przyjrzeć, można zobaczyć, że różne odcienie zielonkawego i czerwonego są rozsypane po całym płótnie i jakby powtarzają podstawowy akcent barw. To cały Falk, z jego zadziwiającą plastyczną harmonią przy jednocześnie skomplikowanej kolorystycznej gradacji...
Widzę, że się pan zmęczył?

– Ależ skąd, ani trochę! – gorąco zapewnił go grubas. – Jestem zafascynowany!

– I na koniec... W rogu obrazu, na płócie, lekkim, ale ożywiającym pociągnięciem pędzla z białą farbą uwieczniony został gołąbek: siedzi nastroszony w jesiennej mżawce.

– Rzeczywiście, gołąbek! – Z niewiadomych powodów kolekcjoner się wzruszył, mrużąc oczy i wpatrując się w pejzaż. – Jak wcześniej mogłem go nie zauważyć?

– „Oto i lato minęło”, jak pisał pewien znany poeta... I to by było tyle, Władimirze Igoriewiczu! Kordobin poprawił się w fotelu, zdjął okulary i pomasował zmęczone przymknięte powieki kciukiem i wskazującym palcem lewej ręki.

– Mówiąc językiem akademickim, to jest opinia eksperta, wydana po starannym przeglądzie i analizie warstwy kolorystycznej obrazu. A w zwykłym języku, po naszymu: sprytnie chłopaki z nielegalnych pracowni gdzieś w Dalijat-al-Karmel nie namalują panu czegoś takiego. Oni produkują najczęściej kandińskich-malewiczów, bo łatwiej jest ich podrobić. A takie malarstwo nie dla nich, za słabi są na to... Pan oczywiście może zwrócić się do jakiejś solidnej firmy po kompleksową ekspertyzę z użyciem specjalistycznego sprzętu... masło kaszy nie zepsuje, jak to się mówi. Ale myślę, że nic nowego panu nie powiedzą. Niech pan trzyma, kolego, swojego Falka!

– Jestem pod wrażeniem!

– Niepotrzebnie, drogi Władimirze Igoriewiczu. To tylko długie lata doświadczenia. Mój wujek Sioma z Winnicy w takich przypadkach mawiał, że zjadł na tym zęby.

– Ależ Zacharze Mironowiczu, pan jest jeszcze młody!

– No... jeśli piąty krzyżyk na karku to młodość, będziemy żyć do stu dwudziestu lat. Muszę jednak kończyć, jestem już naprawdę spóźniony! Chwileczkę... przecież trzeba jeszcze opinię napisać. Tylko z tą moją chorą ręką... Proszę mnie posłuchać, Władimirze Igoriewiczu... tu jest mój firmowy blankiet, wszystko jak należy... Będzie pan łaskaw, mój drogi, nakreślić za mnie parę słów... podyktuję panu, a sam własnoręcznie podpiszę lewą, bo służy mi zamiast prawej. I zdjęcie obrazu też podpiszemy, ma się rozumieć.

– Ależ oczywiście!

Grubas ostrożnie rozłożył na stole przekazany mu blankiet w liliowym kolorze z bladym jak wodne znaki na banknotach, słynnym autoportretem El Greca oraz dobrze widoczną informacją u góry, gdzie były wymienione wszystkie stanowiska i tytuły Zachara Mironowicza Kordobina, i przygotował się do pisania pod dyktando – wypisz, wymaluj pilny uczeń drugiej klasy.

– Wszystko jest proste i wymowne niczym wiersz biblijny – powiedział Kordobin. – Mało słów, dużo sensu. Nie będziemy popisywać się specjalistyczną terminologią. Niech pan pisze: „Pochmurny dzień kropka Chotkowo, pejzaż, rozmiar sześćdziesiąt pięć na osiemdziesiąt centymetrów, po przeprowadzonych oględzinach i analizie warstwy kolorystycznej...

I przez jakieś dziesięć minut, jednak się popisując, wymieniał wszystko, o czym mówił wcześniej, tym razem w przełożeniu na staranny język charakterystyczny dla opinii eksperckich w ośrodkach naukowo-renowacyjnych.

– ...na podstawie wyżej wspomnianego uznaję pracę za oryginalny obraz malarza Roberta Rafałowicza Falka, namalowany przez niego, tak samo jak reszta jego znanych płócien z tego okresu, w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku w Chotkowie”. Koniec. Proszę o długopis.

Pochylił się nad blankietem i wyraźnie – nie podpisał się, tylko jak zwykle starannie wykaligrafował równymi drobnymi literami swoje nazwisko.

– Czy moja lewa ręka nie zasługuje na pochwałę? – powiedział, prostując się. – Wkrótce ogłoszę ją prawą.

– Chwileczkę! – zawołał Władimir Igoriewicz, zdecydowanym ruchem wkręcając jedną dłoń w drugą. – Wiem, że pan się spieszy, ale trzeba to uczcić: bez kieliszka nie puszcze!

– Ależ nie mam najmniejszego zamiaru panu odmawiać, byle szybko. Wstyd się przyznać, ale lubię courvoisiera...

Władimir Igoriewicz energicznie i z wprawą rozlał koniak i podał Kordobinowi kieliszek.

– Pańskie zdrowie! – Kordobin uśmiechnął się samymi oczami, unosząc kieliszek i delikatnie kołysząc gęsty bursztynowy płyn na jego dnie.

– O nie! – oburzył się Władimir Igoriewicz, który poczerwieniał, spocił się i był pobudzony jak po korzystnie zawartym kontrakcie.

Sympatyczny chłop, szczerze zakochany w *sztuce*, czyli w rodzimym bagnie. I ma taką radosną ufność na twarzy. Jego brodawki aż płonęły z podniecenia. Może rzeczywiście zarobił swoje miliony na własnych wynalazkach? Może nikogo nie zabił, nie ograbił, nie przypalał żelazkiem konkurentów?

– Nie moje, ale pańskie zdrowie, Zacharze Mironowiczu! Jaką klasę mi pan przed chwilą pokazał, no nie! Za to dodatkowe pieniądze się należą! Jaka szczodrość, co za styl! Przecież w takim pośpiechu mógł pan w trzy minuty opinię wysmażyć i się ulotnić. A pan nie pożałował czasu, zaraził się pan moją pasją... Ja przecież, przyznam, na Sarabjanowa polowałem... jest to zrozumiałe, takie nazwisko w sztuce. Ale wwozić tu obraz, potem znów wywozić... za dużo zachodu, wszystkiego się odechciewa. A tu Maurice, nazwiska nie pamiętam... no, ten, z galerii Perseusz, ten co właściwie natknął się na ów obraz, mówi do mnie: „Po cholere ci Sarabjanow, kiedy tu u nas Kordobin mieszka, ekspert międzynarodowej klasy”. Więc rzuciłem się dzwonić do pana. A teraz, po naszym spotkaniu... jestem po prostu panem oczarowany: niezrównany profesjonalizm, fantastyczna erudycja, a co najważniejsze...

– Cieszę się, cieszę... – szybko przerwał mu ekspert międzynarodowej klasy, dopijając koniak. – Ale teraz proszę mi wybaczyć, drogi Władimirze Igorowiczu, spieszę się na samolot. Odlatuje za trzy godziny!

Grubas jęknął, otoczył go ramieniem i poprowadził w stronę drzwi. Na korytarzu Kordobin się zatrzymał i zanim chwycił walizkę, powiedział jeszcze, podając rękę:

– A ja cały czas według Majakowskiego: lewą, lewą, lewą!

– „Złoty wąs”, niech pan zapamięta: „Złoty wąs” na noc i owinąć czymś ciepłym!

Energicznie uścisnęli sobie dłonie: lewą – prawą. Ale widać było, że grubas miał ogromną ochotę objąć eksperta. O nie, te rodzinne czułości to już naprawdę przesada. I jeszcze coś na koniec. Zagramy „roztargnionego z ulicy Basiejnej”.

Kordobin z zatroskaną miną ruszył do wyjścia.

– Zacharze Mironowiczu!!! – wrzasnął grubas, ściskając sobie skronie. – Jezu!!! A honorarium, honorarium?!

Obaj uderzyli się w czoło i głośno się roześmiali. Grubas truchcikiem pobiegł do marynarki wiszącej na krześle, zaplątał się w kieszeniach lewo-prawych... wreszcie wyciągnął kopertę i wręczył Kordobinowi. Ten, nie zaglądając do środka i nie przeliczając, wsunął ją do kieszeni.

– Ależ zu-u-uchy... – oznajmił Władimir Igoriewicz, jęcząc i kręcąc głową. – Co za zuchy z nas obu!

Kiedy ekspert chwycił za klamkę, Władimir Igoriewicz dotknął jego ramienia, westchnął wzruszony i powiedział:

– Niech pan tylko spojrzy po raz ostatni: czy on nie jest piękny? Prawda, że piękny?!

Kordobin się odwrócił.

Pejzaż Falka stał na kanapie i migotał wszystkimi swymi drogocennymi kolorami – zielonymi, szarawożółtymi, srebrzystymi – w porannej mgiełce wschodzącego słońca, widocznej przez

otwarte na oścież balkonowe drzwi... Wenus, zrodzona z piany morskiej! Morza, nawiasem mówiąc, Martwego... Czyli co: *Wenus martwo zrodzona?*

– Nie piękny – podkreślił – a wręcz bo-ski!

Włożył walizkę do bagażnika, zdjął marynarkę i pociągnął za krawat na spoconej szyi. Co za klimat! Zaledwie kwiecień, w Europie leje, a tu przez cały rok sauna.

Zsunął z dłoni i z obrzydzeniem rzucił na tylne siedzenie wełnianą rękawiczkę, której miał serdecznie dosyć. Świetnie... I nie zapomnieć napić się po drodze kawy u Beduinów. Nigdzie na świecie – ani we Włoszech, ani w Grecji, ani w Turcji – nie pił takiej kawy z kardamonem jak na miejscowej plaży, w nędznej, skleconej byle jak, oszklonej budce.

No to jedźmy, z Bogiem... Ależ ta sól oślepia w słońcu. Głęboki równy kobalt, *jeśli się postarać*. A Falk... no cóż, Falk – udany... Jakżeby inaczej – przecież wyszedł spod jego, Zachara Kordobina, ręki. Ręki nękanej artretyzmem.

Prócz hongkońskiej grypy, której nabawił się w trzeciej klasie, nigdy na nic nie chorował. Góry Jordanu, biblijne góry Moabu, były zasnuwane różową mgiełką.

Chciało się przetrzeć nieistniejące okulary albo zeszkobać palcem warstewkę z tego liliowego pasma, jak to się robiło w dzieciństwie z obrazkami kalkomanii. Kupował je dla niego wujek Sioma w dziale zabawek winnickiego domu towarowego, tego na Kaliczach („dziecko musi mieć zajęcie, nieważne jakie!”), a on potrafił bawić się tym przez cały wieczór.

Do głębokiego talerza nalewało się ciepłej wody. Mętny, jak z celulozoidu, obrazek (domek za płotem, drzewa, ptaszek na dachu – prawdziwy Falk!) należało wyciąć nożycami z dużej kartki z innymi obrazkami i zanurzyć w wodzie: *żeby zmięknąć*... Potem strzepnąć i szybko przenieść na czystą, suchą kartkę w albumie, równo przylepiając „odwrotną stronę”, *żeby dobrze chwyciło*... I użyć poduszczonek dwóch palców – wskazującego i środkowego, które do dziś są najbardziej wrażliwe i pracowite. Ostrożniutko, leciutkimi okrężnymi ruchami usunąć górną warstwę papieru... *żeby przebić się do obrazka, dostać do śpiącej królowej przez zwartą, mętną błonę, rolując powoli, na wstrzymanym oddechu, okruszki mokrego papieru*... I wtedy pod spodem nagle pojawiał się ogon myśliwca w czystym kolorze stali! „Popatrzcie tylko, co wyprawia to dziecko! Ma paluszki jak kieszonkowiec Wołod’ka! Trzeba go nakierować na sztukę!”

Hmm... a przecież w zasadzie to taki sam proces jak przy odnawianiu dzieła sztuki, takie samo zamieranie serca, dziecięco wysunięty koniuszek języka i niezmiennie oczekiwanie na cud.

Prowadził samochód bez pośpiechu, nie przekraczając dozwolonej szybkości i podziwiając grę szmaragdowo-kobaltowych odcieni po swojej prawej stronie oraz omijając nacierające na drogę słoniowate kolana i ostre żebra krasowych skał po lewej.

Nigdzie nie musiał się spieszyć. Jego samolot wylatywał dopiero w nocy.

W miarę jak słońce unosiło się nad morzem, co chwila zmieniały się oświetlenie, powietrze, kolor wody: najpierw delikatny turkus z długimi żyłkami ciemnego malachitu, potem lazurowa gładź, która gęstniała z każdą minutą, przechodząc w szmaragdową zielen. Wreszcie czysta jaskrawoszafirowa tafla oślepiająco rozblęła w otoczeniu popielato-różowych gór...

...Czemuż to ja nigdy nie przywożem Żuce wachlarza, upomniał się wesoło. Tylko jakieś głupie szale, pamiątki, broszki, korale. A wachlarza – nigdy. Uważał je za tandetę, cygański chłam – niesłusznie. W taki upał stara mogłaby się przynajmniej koło nosa powachlować.

Na rozstaju dróg skręcił w prawo, w kierunku morza, przejechał ze dwieście metrów wąską gruntową drogą do wyboistego placu, zaparkował i wysiadł. Tę na pół dziką plażę niedawno odnowili, ogrodzili płotem z prętów, postawili drewniany pomost aż do samej wody. A zaniedbaną oszkloną kawiarnią zaopiekowała się jakaś zaradna arabska rodzina.

I powstała cudowna oaza – zresztą u nas nie trzeba wielkiego wysiłku, by stworzyć upragniony raj Maghrebu: wystarczy porzucić kwaciaste poduszki na drewnianych ławach, ustawić szklane wazoniki na plastikowych stolikach, rozwiesić na ścianach wyszywane koralikami

patchworkowe narzuty z kawałkami lusterek. Najważniejsze, żeby było jaskrawo, pstrokato i rzucało się w oczy; przecież ton i tak nadaje tu największa i najbardziej połyskująca granatowo-zielona narzuta rozciągnięta wzdłuż brzegu...

– ...tylko bardzo gorącą! – Uniósł znacząco palec i chłopak poszedł parzyć kawę. A on włączył bez przerwy brzęczącą komórkę.

– Jesteś na lotnisku? – To Irina.

– Tak, kochanie. Przepraszam, nie usłyszałem dzwonka w tym zgiełku. Przechodzę kontrolę paszportową...

Przez otwarte na oścież okno patrzył, mrużąc oczy, na iskrzące się, ciężkie niczym gliceryna, lustro wody.

– Chyba byłam niegrzeczna dziś rano! – powiedziała niepewnie.

Uśmiechnął się tak, żeby to *usłyszała*...

– Ani trochę! – odparł zdecydowanym głosem. – Jesteś najczulszą i najbardziej namiętą kobietą na świecie. Wiesz, kim jesteś? Moją palomą blanką.

– Co, jak? Dziwak z ciebie, jaki znowu połamany blankiet?

– *Blanca paloma*, skarbie, to po hiszpańsku „biały gołąbek”.

Nie przestając się uśmiechać, skinął głową do chłopaka w podziękowaniu za przyniesioną kawę i złączył czubki palców, pokazując mu, by przyniósł orzeszki albo coś innego...

– Ale ten zwrot *paloma blanca*... słyszysz mnie?... ma też inne, religijne znaczenie. Ludzie nazywają tak obraz Matki Boskiej z miasteczka El Rocío, niedaleko...

– Zaczyna się... ty i te twoje hiszpańskie bajeczki.

– ...niedaleko Sewilli. Do niej każdej wiosny, gdzieś w maju lub czerwcu, na *Pentecostés*, czyli Zielone Świątki, podążają pielgrzymi. Całe procesje. I wiesz co, to bardzo efektowne widowisko: wszyscy w narodowych strojach, tańczą, śpiewają *sevillanas*, flety cieniutko szemrzą, bębny wybijają: trrr... tr... tra-ta-ta-ta...!

– Daj już spokój – rzuciła łagodnym tonem. – Właśnie wyszłam z sauny. Idę na masaż. A niech tam, leć sobie do tej swojej choleralnej Hiszpanii...

Zamknął klapkę komórki i pociągnął tyk parzącej, gęstej, najlepszej na świecie kawy. Pomyślał o ptaszku z pejzażu Falka, nastroszonym w deszczu. Elegancki szczegół. Taki jego żarcik, niepotrzebna brawura oczywiście, ryzykowna gra. No i zarazem ukryty firmowy znak.

Och, doigrasz się, don Zacarias, doigrasz się za te swoje białe gołąbki – wciąż powtarza mu Margo, energicznie potrząsając grzywą rudych włosów i potrójnym podbródkiem.

Patrzył na zgodne migotanie długich słonecznych igieł w grząskim granacie morza i czuł zmęczenie oraz błogość w całym ciele – podobne do tych, których doświadczał w młodości tylko z najukochańszymi kobietami i które muszą odczuwać wielcy artyści po błyskotliwych premierach. Zmęczenie, rozkosz i dumną satysfakcją z *posiadania* czegoś najskrytszego: malutkiej, ale bardzo ważnej części ludzkiego geniuszu...

I pieniądze nie mają z tym nic wspólnego. Być może przyszły Mesjasz po wskrzeszeniu martwych będzie tak samo szczęśliwy i wyjąłwiony... A pan, Robercie Rafałowiczu, czy jest pan szczęśliwy tam, gdzie wszyscy przebywają w nieziemskiej postaci? Przecież dziś narodziło się nowe pańskie dzieło, którego każdy centymetr świadczy o pańskim autorstwie. Dzisiaj zaistniało i będzie istnieć na wieki wieków – niechby nawet w prywatnym, na początku, zbiorze, w willi szacownego Władimira Igoriewicza. Ale nadejdzie taki dzień, kiedy jego dzieci czy wnuki wystawią obraz na aukcji, a tak się na pewno stanie, ponieważ do tego czasu (nie tylko wdowa po adwokacie będzie wachać kwiatki od spodu, również ja sam będę rozcierał niezniszczalne farby z pigmentów rajskiego ogrodu), do tego czasu Falk będzie wart jakieś setki tysięcy upragnionych euro i będzie to już Falk *autentyczny*, z *prawdziwą* historią.

A wtedy, mój Aniele Stróżu, opiekunie całej chmary białych gołębi wypuszczonych przeze mnie, wtedy zadbaj o powodzenie licytacji i o eksperta jakiegoś szanującego się muzeum.

Skinął głową na chłopaka i ten poszedł do kasy – po rachunek.

2

Minął Maale-Adumim, sterczące niczym biały zębaty grzebyk na czubku wysokiego pagórka, i zostawiwszy za sobą po lewej stronie Jerozolimę, pomknął nową szosą, biegnącą dnem wąwozu Sorek, wzleciał na sam jej szczyt, gdzie łączyła się z główną drogą na Tel Awiw, i korytarzem Jerozolimskim skierował się w stronę lotniska. Na skrzyżowaniu w Szoresz skręcił najpierw w prawo, potem za przeszklonym McDonaldem w lewo, wjechał do osady i zaczął powoli pięć się wąską, długą ulicą prowadzącą pod górę (tu zawsze wałęsały się jakieś koty, zapamiętałe szczekające psy, strojne koguty z barwnymi ogonami, a nawet pawie).

Główna ulica bogatej osady była zabudowana willami ulokowanymi na tarasach, jak to zwykle bywa w górskich miejscowościach. Po lewej stronie wznosiły się jedno-, a nawet dwupiętrowe domy, nad ogrodzeniami po prawej widniały dachy budynków wspinających się o kolejne dwa piętra wyżej. I z prawa, i z lewa ponad płotami gramoliły się kłujące łapcie kaktusów i opadały, niczym bujne liany, bugenwille w różnych odcieniach różu, czerwieni, żółci i lila. Te kolorowe plamy kwiatów i czerwone dachówki domów pod spiętrzone granatowym niebem ze śmietankowymi wysepkami cieszyły oko.

Im wyżej, tym ulica stawała się bardziej kręta. Wykonawszy dwa płynne piruety obok nowych willi – z ciemnoróżowego i żółtego kamienia jerozolimskiego – wyprowadzała na prosty odcinek drogi i przez blisko półtorej minuty pięła się przy samym brzegu urwiska; wreszcie nurkowała w prawo, gdzie urywała się i przechodziła w niewielki udeptany plac przed drewnianym, pomalowanym na kolor ciemnej ochry płotem, za którym, jak się zdawało, nie było nic poza wąwozem.

Ale, oczywiście, było.

Kordobin wysiadł z samochodu i wyciągnął z bagażnika walizkę. Rozpiął zamek błyskawiczny, wsadził rękę w rozdziawioną zębatą paszczę i wy dobył z niej bezużytecznego jak dotąd glocka, który przespał *bezkonfliktowe narodzenie Wenus*, a teraz powędrował do kieszeni swego właściciela.

Jak zawsze z trudem otworzył ogromną kłódkę przy furtce. Stary arabski zamek z mordą pół człowieka, pół lwa rozwarł paszczę jakby w zdumionym wrzasku, tworząc szczelinę, i nikt chyba nie miał takiego wytrychu, który poradziłby sobie z tym przedpotopowym wynalazkiem.

Kordobin wszedł do środka, zabierając ze sobą kłódkę, która zawisała teraz na takich samych zawiasach, ale po drugiej stronie furtki – drewnianej i wyglądającej na bardzo starą. Była pomalowana byle jak na wszechobecny tu paskudny kolor ochry.

Za furtką zaczynał się niewielki, zapuszczony, ale przytulny ogród składający się z kilku drzewek mandarynkowych, trzech pomarańczowych i pięciu cytrynowych, którymi była obsadzona gruntowa ścieżka. Leżały na niej tu i tam, choć w pewnej kolejności, różne płytki – na wypadek deszczu – używane w tym kraju do wykładania podłóg: płytki szare, nakrapiane, w kolorze kawy, niektóre nawet ze wzorkiem. Wszystkie prawdopodobnie zostały ukradzione z pobliskich budowli.

Dalej, czyli w głębi, widniał parterowy dom z tarasem, na który prowadziły trzy kamienne schodki – środkowy wypadałoby wyrównać za pomocą cementu. Ten stary dom z czasem upodobił się ni to do złudnie zapuszczonej szopy, ni to do spichlerza, jak zresztą wiele innych okolicznych domów pochodzących z okresu panowania Brytyjczyków.

W tych kamiennych skrzyniach kryły się niespodziewanie przestronne sale z mocnymi bielonymi ścianami i wysokimi łukowatymi stropami; świetnie utrzymywały ciepło w zimie i chłód latem. Do pełni szczęścia brakowało tylko tego, żeby Nachman, od którego Kordobin od dziesięciu lat wynajmował ten dom, wreszcie zdecydował się go sprzedać. Ale Nachman miał dwóch dorastających wnuków i uparł się, stary osioł, że chałupę zostawi chłopakom.

Żywa dusza, poza starym Nachmanem, nie wiedziała o istnieniu w jego życiu tego schronienia. A

Nachman nic nie wiedział o doktorze Kordobinie. Nic. Znał tylko rosyjskie słowo „dacza”, którego nauczył go dziesięć lat temu, przy podpisywaniu umowy, sam *Zakkarija, sukinsyn jeden*.

Przyjaciół, kolegów, kolekcjonerów i kobiety doktor Kordobin przyjmował w swoim skromnym, choć eleganckim dwupokojowym mieszkaniu w jerozolimskiej dzielnicy San Simon.

A niech to, wymieniając roślinność w ogrodzie, zapomnieliśmy o wysokich sosnach – z koronami wyglądającymi niczym rozpuszczone włosy – które rosły wzdłuż całego płotu, przez co ziemia pokryta warstwą suchych igieł miękko ugięła się pod stopami. No i były jeszcze dwa drzewka granatu koło tarasu. Na jednym z nich chowały się wśród gałązek trzy zapomniane, pozostałe z jesieni owoce w różnych kolorach: dwa popielato-purpurowe, z zapadniętymi bokami, i jeden barwy nasyconego kraplaku. Trzeba by podwiązać gałązki, pomyślał zatroskany, wchodząc po schodkach na taras. Ale to później, później...

Przez chwilę nasłuchiwał ciszy w domu, potem otworzył kolejną, nie mniej dziwną i starą kłódkę – tym razem w kształcie pół osła, pół pantery (co kojarzyło mu się z wieloznacznym niedopowiedzeniem Wschodu). Zamek miał jeszcze bardziej skomplikowaną konstrukcję niż poprzedni. Do paszczy osła-pantery wkładało się długi kindżał, który zatrzaskiwał się – trudno to wyjaśnić, pokazując palcami – za pomocą zwiniętego w koło ogona wysuwającego się z tyłka osła-pantery.

Wszedłszy do środka, Kordobin zamknął zasuwę w drzwiach, prosty i mocny żelazny sworzeń na wzór średniowiecznych, wykonany w jednym z warsztatów Starego Miasta, gdzie sprytni rzemieślnicy wytapiają i wyrabiają pradawne monety z okresu Drugiej Świątyni, oprawiają w srebrne sukienki szczapy z *autentycznego* Świętego Krzyża i postarzają kawałki *autentycznego* całunu z Turynu.

Nareszcie.

Miał przed sobą kilka godzin całkowitej ciszy i samotności.

W środku dom wyglądał dość dziwnie jak na gust Europejczyka, ale całkiem zwyczajnie dla tubylca. Drzwi wejściowe otwierały się na prostokątny pokój wielkości trzydziestu metrów kwadratowych z trzema wysokimi, strzelistymi zakratowanymi oknami. Nie wiadomo, czemu miały służyć te kraty, bo środkowe z okien było tak naprawdę drzwiami prowadzącymi do sąsiedniego pomieszczenia, wielkiego i jasnego – na wskroś przenikało je zielonkawe światło padające od zalesionego zbocza za kolejnymi zewnętrznymi oknami...

Prócz samotnej pryczy, bujanego fotelu z bambusa oraz bambusowego stolika ze stosem książek, uwieńczonym ogryzkiem jabłka, nic nie przypominało tu mieszkania. Prędzej składowisko przedmiotów niewiadomego pochodzenia. Spiżarnię lub komórkę, gdzie latami znosi się i przechowuje najróżniejsze rzeczy.

Stały tu ułożone w sztaple stare ramy, blejtramy, mapniki i drewniane palety, rulony płócien i papieru, pudełka bez etykietek, tekturowe pudła różnych rozmiarów i kształtów, skrzynie ze wszystkimi rodzajami gwoździ. Wzdłuż ścian ustawione były jakieś butelki i plastikowe kanistry; na podłodze wznosiły się sterty katalogów z aukcji dzieł sztuki z ostatnich lat oraz stosy kolorowych folderów firmy Kremer.

W kącie stał duży wiklinowy kosz z cebulą i czosnkiem, których specyficzny stęchło-cierpki zapach łączył się z ostrą wonią terpentyny, kleju, lakierów, zbutwiałego drewna i starych płócien... Obrazu dopełniał pękaty papierowy worek z karmą dla kotów, który wieńczył piramidę z dwóch skrzynek wypełnionych polnymi kamieniami.

Zwoje dekoracyjnych tkanin piętrzyły się na fotelu, którego przynależność do pseudoantyków zdradzała jedynie spiralna nóżka, figlarnie wystająca spod fałd burego koca (mnóstwo podobnych mebli można znaleźć w sklepikach na uliczkach suku Piszpizim).

Była jeszcze kuchenka gazowa w kącie i było coś podobnego do kuchennej szafki, na której bocznej ścianie wisiła cała kolekcja różnej wielkości tygielków do parzenia kawy po turecku,

czyli, jak je się tu nazywa, *dżezw*, na każdy gust, chociaż nikt tu prócz niego nie mieszkał. Nawet Nachman nie mógłby dostać się do własnego domu, ale też wcale się do niego nie pchał: *sukinsyn Zakkarija* zawsze płacił za rok z góry i na stukanie w furtkę nie odpowiadał. Wystarczyło jednak podejść do przeszklonych drzwi prowadzących do sąsiedniego pomieszczenia i wyjrzeć tam przez kratę, a oczom ukazywała się zupełnie inna przestrzeń. Trzy stopnie niżej (ta część domu znajdowała się na niższym poziomie z powodu zbocza góry) mieściła się przepiękna obszerna sala z arkadami ogromnych, na całą ścianę, łukowatych okien wychodzących na porośnięty lasem wąwóz. Za szczytem najbliższej góry widać było, jak przez akwarelową mgiełkę, kolejne grzbiety z rozsypanymi na nich czerwonymi dachówkami okolicznych kibuców i osad, podobnych do tych w Szoresz.

W sali tej, do której wejście strzeżone było niczym wrota do haremu – wcześniej jednak należało się pochylić i w koszu z cebulą i czosnkiem, wśród suchych i łamliwych łupin, ostrożnie wymacać leżący na dnie klucz do kraty – otóż w tej oto sali panował względny porządek, chociaż wokół szerokiego – wielkości czterech metrów kwadratowych – stołu z blatem z tutejszego polerowanego kamienia stały w beładzie:

warsztat z kompletem narzędzi stolarskich

monumentalne sztalugi z podnośnikiem na korbkę

otwarta teczka na szkice z wypolerowaną niczym jajko paletą

i dziwne krzyżaki, przy których były ustawione dwa długonogie jak bociany, ruchome reflektory.

Wzdłuż ściany stały trzy szafy różnej wielkości.

Za szklanymi drzwiczkami pierwszej, podobnej do laboratoryjnej, piętrzyło się mnóstwo słoików, kolb, butelek i flaszek, jak również pudełek z tubkami rozmaitej grubości.

Na wewnętrznej stronie drzwi drugiej szafy – wysokiej i pojemnej niczym szafa na ubrania – w specjalnych gniazdach leżały wszelkiego rodzaju narzędzia: pędzle, noże, dłuta, skalpele, pincety, młotki, nożyce, szczypcy, metalowe linijki, palety i ze dwadzieścia innych przedmiotów niewiadomego przeznaczenia. Tu przechowywano na półkach: żeliwne i elektryczne żelazka, szpachlę elektryczną, pistolet natryskowy ze sprężarką do rozpylania werniksu, lampę-lupę, mikroskop, drogie aparaty fotograficzne z kilkoma obiektywami. I wreszcie przenośny aparat rentgenowski oraz odkurzacz.

Trzecia szafa głębokością przypominała raczej wielką, pozbawioną góry komodę, w której ustawiono w szeregu płótna na blejtramach.

Kraty na oknach sali były zbędne, bo wątpliwe, żeby ktoś mógł wejść tu z dołu: dom nawet trochę zawisał nad przepaścią, stwarzając iluzję płynącej w wąwozie karaweli. Przy oknie można było stać godzinami...

Zbocza gór – i tej, na której szczycie usadowił się dom w kształcie dwóch szerokich skobli, i tej naprzeciwko – nie były porośnięte, jak inne w okolicy, nudnymi sosnami. Na ich starych, wyrównanych i podpartych rzędami kamieni tarasach nie przestawały poruszać się na wietrze niespokojne korony drzewek oliwnych. Przy silnych porywach gwałtownego wiatru ich srebrne listki zdawały się grzmieć niczym suita Bacha.

Miał jeszcze dość czasu przed odlotem, w każdym razie wystarczająco dużo, by zakończyć parę spraw, które sobie zaplanował.

Na początek włączył klimatyzację, przebrał się w stary dres, wyciągnął z szafy i włożył długi, „kelnerski” fartuch, zdjęt stojący na sztalugach obraz i przeniósł go na krzyżaki, kładąc wierzchnią stroną do góry.

Wyciągnął z szafy ze szklanymi drzwiczkami watę, słoiczek z werniksem, flaszkę z rozpuszczalnikiem, butelkę z terpentyną i pistolet natryskowy. Ustawił to wszystko w rzędzie na stole. Potem przez prawie pięć minut przygotowywał się do pracy: rozcieńczał werniks rozpuszczalnikiem, mozolił się z pistoletem, próbując równomiernie rozpylać werniks na skrawku papieru.

W starożytności werniksowano ikony, rozcierając dłonią i cienko rozprowadzając na drewnie niewielką ilość pokostu: malarz wykorzystywał ciepło rąk, żeby pokost dłużej zachowywał płynność. Czasami między pierwszym a końcowym pokryciem mijały tygodnie, miesiące, a nawet lata. I pierwsza warstwa musiała być jak najcieńsza: wtedy można było nakładać go powoli, żeby miejsca cieniowania na fakturze nie różniły się od namalowanych przez autora. Tu, w chłodnej ciszy domu, pierwsza warstwa na obrazie musiała schnąć przez dobę. A teraz... teraz dodamy piękniśowi kolejną warstwę przezroczystego muślinu...

Zakończywszy rozpylanie, Kordobin chwilę stał pochylony nad płótnem, uważnie wpatrując się – przeszkadzało mu światło – w każdy centymetr powierzchni obrazu i sprawdzając, czy wszystko zostało pokryte równomiernie.

Nieźle, nieźle... Zostawmy go na pół godzinki, by pooddychał w przezroczystym kokonie, aż się uspokoi, zastygnie... i sam nagle odkryje, że spowija go delikatna osłona.

Kordobin się wyprostował i zaczął starannie przecierać dłonie watą nasączoną terpentyną...

Obraz przedstawiał brzeg morza w jednym z tych beztroskich kurortów, jakich pełno jest na Lazurowym Wybrzeżu w okolicach Nicei czy Antibes.

Na pierwszym planie, w przezroczystym niebieskawym cieniu parasola, którego granatowy brzeg był widoczny z lewej strony, stał drewniany podniszczony stół z kilkoma rozrzuconymi na nim jabłkami. W prostym szklanym wazonie wiądzł w upale bukiet drobnych polnych kwiatków. Pas brzegu i morza w tle błyszczał w południowym słońcu, nad wodą unosiły się ręce dwóch kąpiących się kobiet. Morska lazurowa gładź i kupki żółtego piasku stanowiły podstawowy kolorystyczny kontrast obrazu; ten plastyczny akord powtarzał się bardziej wyraziście w żółtych bokach jabłek i przytłumionych plamach światła na ciemniejszej powierzchni stołu, gdzie w niebieskawym cieniu na pierwszym planie – nad świeżo odkrojoną połówką jabłka – widniały dziób i krągłe oko białego gołąbka.

Cały obraz był nasycony światłem, lśnił mnóstwem przezroczystych warstw. Wszystko – przedmioty i ludzie, oświetlone i zacienione miejsca – było skąpane w tej nieważkiej, promieniującej światłem mgiełce, jaka unosi się w letnie południe nad każdym morskim wybrzeżem.

I gdyby hipotetyczny widz przyjrzał mu się z bliska, bez trudu odczytałby w prawym dolnym rogu podpis „M. Larionov” – drobnymi kulawymi literkami, charakterystycznymi dla podpisu słynnego malarza.

Obraz został pokryty warstewką werniksu i praca nad nim właśnie dobiegła końca... lecz nie był jeszcze *gotowy*. To znaczy, mógłby być ozdobą każdej wystawy i muzeum... ale nie był gotów, by zacząć żyć własnym *prawdziwym* życiem. Nie została jeszcze wymyślona, znaleziona jego *historia*, nie wybrano *rodziców zastępczych*, nie wypatrzone kupca. Muszą minąć ze trzy, cztery lata, zanim *osiądzie* warstwa malarska... Trzy, cztery lata, podczas których będą wypłatać się wzory przypadkowych spotkań i ciekawych znajomości, prowadzona będzie korespondencja z właścicielami, wykonywane będą powolne ruchy na szachownicy okoliczności. Płynny powolny taniec, jego ulubiony okres tworzenia mitu, był niczym mikroskopijna kopia procesu *tworzenia świata*: dojrzewanie sytuacji, wypełnianie płótna ciałem i krwią *losu*. Tak, tak: „i tchnął oddech życia w jej nozdrza...”.

Wszystko jeszcze ten piękny obraz miał przed sobą...

Przypomniał mu się dzisiejszy sukces z pejzażem Falka. Niestety, nie zawsze tak łatwo, *tak zadziwiająco łatwo*, tworzą się biografie obrazów. W tym przypadku od razu mu się poszczęściło: kiedy tylko zobaczył dyletancki pejzaż nad łóżkiem wdowy po adwokacie – trafił do Ramat Gan, bo Irina prosiła go, żeby odwiedził *miłą starszą panią*, u której w młodości wynajmowała pokój – otóż, kiedy tylko zobaczył tę żalostną próbkę nieznanego amatora (ale co za rok, co za płótno!), błyskawicznie *wpadł na pomysł*.

Miał teraz przed oczami to mieszkanie w Ramat Gan. Pod koniec wizyty mdliło go od

intensywnego starczego zapachu. A wdowa, ze swymi powtarzaniem w kółko prośbami i pretensjami – w ostatnich tygodniach życia, zanim *wyciągnie kopyta*, była w stanie nawet wyskoczyć do sklepu po ziemniaki – budziła w nim gorące pragnienie, by skręcić jej kark. Żeby wbić tytuł obrazu do jej siwej głowy, musiał powtarzać go z tysiąc razy w ciągu tej niekończącej się rozmowy.

„Ma pan taki zniewalający uśmiech, Zacharku...”

To były dziesiątki skierowanych w różnym kierunku ruchów, podobnych do najdrobniejszych ruchów rozczapierzonej dłoni lalkarza z przywiązanymi do każdego palca nićmi, dzięki którym arlekin jednocześnie tupie nóżką, kręci głową, brzdąka na gitarze i otwiera usta. Trzeba było tak sprytnie wyciągnąć od wdowy obraz, żeby nie zaparła się jak osioł. Czasem musiał dzwonić do Maurice’a, dając mu do zrozumienia, że wytropiony przez niego, Kordobina, *nieznany Falk* lada chwila trafi do jego rąk i można już rozglądać się za kupcem... Była wreszcie długa, męcząca, ale i przyjemna praca nad samym obrazem, kiedy to nie tylko przejmował manierę malarza, nie tylko nim żył, ale wręcz nim się stawał. Tym jedynym mistrzem, z jego niepowtarzalnym stylem, spojrzeniem na świat i przedmioty, w których ten świat się odbija, z jego sposobem trzymania pędzla czy szpachelki, z jego nawykiem pracy wyłącznie w godzinach porannych lub popołudniowych... Jednym słowem, kiedy, niczym Wszechmogący z kosmogonicznej teorii kabały, kurczył się i małał, aby zwolnić miejsce narodzinom *nowego istnienia*...

Na podwórku przeraźliwie rozdarł się kot.

No tak, Chico się zjawił – jak on bezbłędnie wyczuwa jego przyjazd! – a przy okazji nie odmówił sobie przyjemności zaczepienia jakiegoś właśnie przechodzącego obok pana.

Kordobin wbiegł po schodkach do pierwszego pokoju, przesunął zasuwę i wyjrzał na zewnątrz.

Na podwórku szykowała się prawdziwa bitwa: jego Chico, zuchwały czarny kocur, stał oko w oko z rudym samozwańcem; oba wściekle okładały się ogonami i wyły – jeden zachrypniętym tenorem, drugi wysokim sopranem – w tonacji tercja mała, w tym pojedynku unosząc głosy coraz wyżej, zwiększając histeryczne napięcie i przechodząc do wrzasku. Obaj przeciwnicy drżeli z nienawiści, ale żaden nie miał odwagi zaatakować pierwszy.

Ekspert klasy międzynarodowej w końcu nie wytrzymał.

– Do dzieła!!! – zawołał przenikliwym głosem, kucając i opierając dłonie o kolana. – Do dzieła, gnojki!!!

Koty jak na komendę zawyły, podskoczyły i połączywszy się w powietrzu, razem padły na ziemię.

I przez kolejne pięć minut skakały na siebie, paskudnie wyjąc przy wtórze zapamiętałych okrzyków: „Przyłóż mu!!! Rozszarp go, gada!!!”, aż cała trójka w końcu się zmęczyła...

Rudy potruchtął swoją drogą, głucho zawodząc i powłóczęc poszarpanym ogonem. Chico, ledwo żywy, przyczołgał się do swego pana.

– I co? – zapytał Kordobin. – I co, zbójcecko mordo? Wiesz już, ile kosztuje zwycięstwo?

Otworzył drzwi, wpuszczając go do środka.

Pokój, bardziej przypominający spiżarnię, prawdopodobnie był kotu dobrze znany. W każdym razie Chico bez problemu znalazł w kącie pustą miskę i przesuwając ją pyszczkiem po podłodze, a pan wyciągał kulki suchego pokarmu z wielkiego papierowego worka i nalewał wody do drugiej miseczki.

Kot wcale nie rzucił się na jedzenie i nie ciamkał łapczywie. W okolicy nie brakowało bogatych w resztki śmietników, a Chico zbierał chyba haracz od wszystkich miejscowych kotów, to znaczy był tutejszym cygańskim baronem.

Pan tymczasem parzył sobie kawę na kuchence.

W lodówce czekała na niego przyjemna niespodzianka – zapomniane nieotwarte opakowanie wędliny. I dwa koty – jeden, siedząc w bujanym fotelu, drugi, krzątając się na podłodze i

ryzykując wpadnięcie pod miarowo skrzypiące bambusowe bieguny – nieźle sobie przekąsiły. A jeszcze nakarmią na pokładzie samolotu, przytomnie zauważył Kordobin...

Zrobił się trochę senny po jedzeniu i niepostrzeżenie zapadł w drzemkę, coraz rzadziej skrzypiąc fotelem i nie czując już, jak Chico miękko wskakuje mu na kolana, zwija się w kłębek na jego fartuchu i też nieruchomieje...

Gdzieś w dole wrzaskliwie odezwał się wystraszony paw, psy zgodnie mu odpowiedziały, obszczekując się za płotami... Przejechał samochód i znów zapadła cisza – odgłosy z drogi prawie tu nie docierały.

Po jakichś pięciu minutach światło w pokoju zaczęło przygasać, blaknąć... aż całkiem zgąsto. Zapadł senny mrok. Z wielkich okien dolnego pomieszczenia, gdzie mieściła się pracownia, wyciekał bladym strumykiem odchodzący dzień.

...I wtedy weszła mama, otulając się narzuconym na ramiona wesołym rozpinanym sweterekiem – zielonym, z żółtymi kwiatuskami wokół kołnierzyka i na dole. Wynurzyła się z ciemności, podchodząc całkiem blisko, i podmuchała synowi w czoło, jak robiła to zawsze, kiedy chciała go obudzić.

– Zapominalski... za-po-mi-nal-ski... – zawołała do niego, cichutko się śmiejąc.

Obudził się, ale nie otworzył oczu, bezskutecznie próbując zatrzymać przy sobie ciepły oddech z delikatnym zapachem jej ulubionych pestek dyni oraz ten beztroski śmiech...

Nie zdarzyło się jeszcze, żeby nie przypomniała mu o *rocznicy*, gdy o tym zapomniał. Mądra mamusia...

(Co z tego, że ta dziewczyna ma głowę na karku, powtarzał z goryczą wujek Sioma, skoro jest puszczalska!)

Dziś była rocznica jej śmierci.

Przegnał Chico z kolan, podniósł się i wymacał w szafce zapalniczki oraz grubą świecę wotywną.

Ostrożnie zapalił ją w gęstniejącym mroku: jak jednak szybko zapada zmierzch w górach...

Płomyk zajarzył się i wyprostował, migając równo i wesoło, gotów stać na posterunku przez dwadzieścia cztery godziny.

* * *

koniec darmowego fragmentu
zapraszamy do zakupu pełnej wersji

Castañuelas (hiszp.) – kastaniety (przyp. autorki).

[?]

Maja (hiszp.) – młoda, piękna i elegancka kobieta (wszystkie przypisy, jeśli nie oznaczono inaczej, pochodzą od tłumacza).

[?]

MUZA SA
00-590 Warszawa
ul. Marszałkowska 8
tel. 22 6297624, 22 6296524
e-mail:
info@muza.com.pl
Dział zamówień: 22 6286360
Księgarnia internetowa:
www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB:
MAGRAF s.c.
, Bydgoszcz

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Czytelnia Online](#).